Po dniu pod znakiem zwierząt i safari nastał czas pod znakiem gór, pociągów i naprawdę niskich temperatur. Kumar jeszcze nim wyruszyliśmy polecił wyjąć z głównego bagażu cieplejsze ciuchy i mieć je na podorędziu kiedy temperatura spadnie poniżej dwudziestu stopni. Głównym celem tego odcinka wyprawy było miasto Kandy, ale po drodze mieliśmy w planach kilka interesujących przystanków i jeden nocleg w miejscowości Katukithula.

Pierwszy postój był przy wodospadzie Ella Rawana. Kaskady wody spływające z wysoka robiły piorunujące wrażenie. Niestety lał deszcz i było chłodno, więc szybko zrobiliśmy foty i zapakowaliśmy się do busa.

Nasz pilot nazywa się Attre i ma sporo ciekawych pomysłów na to jak nam uatrakcyjnić pobyt na Sri Lance. Myślał, myślał i zaproponował spacer do punktów widokowych z których widać zawieszone pomiędzy skałami mosty i mknącym nimi pociągi. I a propos pociągów, to z kolei Kumar wpadł na pomysł, żeby część trasy do miejsca, w którym mieliśmy spędzić noc, przejechać ciuchcią. Bez bagażu, „na lekko" przeszliśmy się na dworzec, chwilę poczekaliśmy na pociąg, kupiliśmy bilety i pojechaliśmy, podziwiając przez okna przecudne krajobrazy. Wycieczka trwała trzy godziny. W pewnym momencie podszedł do nas pracownik ochrony i zaprosił do swojego kamerlika. Nas, opiekunów. Pozwolił zrobić sobie zdjęcia u „steru" leciwego pociągu, a nawet zachęcał nas do wychylenia się przez drzwi jadącego składu i z okna wagonu robił nam fotki. Może to i nieodpowiedzialne, ale ciągle w każdym z nas młody duch – ryzykant. Poza tym czego się nie robi dla dobrego zdjęcia? Nie no… żarcik. Aż tak nie ryzykowaliśmy. A pociąg wjeżdżał coraz wyżej i wyżej, i na prawie dwóch tysiącach n.p.m. (1891 m n.p.m. stacja Pattipola) było już paskudnie zimno i lało jak z cebra. My wysiedliśmy trochę dalej i znowu zapakowaliśmy się do naszego busa. Noc spędziliśmy w miejscowości Katukithula. Hotel był niby wygodny, duże pokoje, ale zawilgocone, a na korytarzach do późna buszowały dzieciaki z innych grup, które grały w bilard lub ping ponga.

Najgorszy pokój dostał Kumar – był to po prostu schowek na szczotki, ręczniki, prześcieradła, dodatkowe wyposażenie pokoi, deskę do prasowania i inne takie rzeczy. W dodatku nie mógł się zamknąć od środka, bo zamek był wyłamany i Szef na noc przystawił sobie pod drzwi dwa wiatraki, żeby mu nikt postronny nie zakłócił snu. Rano były też problemy ze śniadaniem, bo zabrakło jaj, a kelnerzy nie rozumieli, że wegetarianin nie je kiełbasek, więc dostałam suchy chleb tostowy i miskę arbuza. A po śniadaniu poszliśmy do pracy na polu herbacianym. Żartuję… i nie żartuję. Zabrano nas na wycieczkę po wytwórni herbaty Glenloch, a zaczęła się ona na polu, gdzie rosną krzewy herbaciane. Pani, która prowadziła wycieczkę wytłumaczyła nam jak zrywać listki herbaty i ogłosiła konkurs na najlepszego zbieracza. Dała nam kosze i 10 minut. Wszyscy, oprócz Kumara, który przyjął funkcję nadzorcy zbieraczy, ruszyliśmy pomiędzy krzaczki. Najlepszą okazała się Zosia Sz., która w wyznaczonym czasie narwała cały kosz zielonych liści. Przy okazji przeglądu koszy okazało się, że młodzi pozbierali też co innego, a mianowicie kąśliwe i krwiożercze pijawki. Rekordzistka miała ich aż trzy. Pijawki wielkiej krzywdy nie zrobiły, ale po ich oderwaniu krew się polała, więc złapałam za octanisept i spsiukałam pogryzionych. Tylko jednego miejsca po ugryzieniu nie odkaziłam. Jeden z małych wampirów dziabnął bowiem swoją ofiarę w część służącą do siedzenia. A w samej fabryczce herbaty widzieliśmy jak suszone są zebrane listki, jak sortowane i przygotowywane do spakowania. Dowiedzieliśmy się także

jakie rodzaje herbaty są produkowane na Sri Lance i które warto kupić, co oczywiście zrobiliśmy. Na do widzenia poczęstowano nas herbatką i pomknęliśmy w kierunku Kandy. Ale na trasie, którą mieliśmy pokonać był jeszcze jeden trudny dla wszystkich przystanek – w manufakturze, w której szlifowano i oprawiano szlachetne lankijskie kamienie. Nie mogę zbyt wiele zdradzić z tego, co tam widziałam. Napiszę tylko, że wyprawowicze targowali się ostro i bezwzględnie.

Do Kandy przyjechaliśmy po południu w niedzielę. Część uczestników wyprawy chciała się pomodlić, w związku z czym znaleźliśmy St. Anthony Cathedral, a potem fajną restauracyjkę, w której podawali lankijskie kotty i kokosowo – jajeczne hoppers. Hotel w Kandy był bez zarzutu, pokoje czyste i wygodne, serwowane posiłki obfite i bardzo smaczne. A przed nim basen, do którego wpakowali się młodzi i popiskując z uciechy moczyli tyłki do wieczora.

Niestety, podczas pierwszej kolacji bardzo zaniepokoił nas Szymon I, który podszedł do nas – opiekunów i oznajmił, że jest chory, bo czuje, że ma gorączkę, a na torsie wysypkę. Faktycznie, był rozgrzany. Mieliśmy nadzieję, że chłopak się przeziębił, że prześpi noc i obudzi się zdrowy… rano jeśli było chyba jeszcze gorzej, bo temperatura sięgała prawie 40 stopni. Nie było nad czym się zastanawiać. Ustaliliśmy, że Grace pojedzie z Szymonem do szpitala, a my (Kumar i ja) zabierzemy młodych do świątyni Zęba Buddy. Tak też zrobiliśmy. Nasi kierowcy i Attre odstawili Grace i Szymona do lecznicy, a nas pod kasy biletowe przed buddyjskim miejscem kultu. W świątyni Sri Dalada Maligawa, uważanej za jedną z najważniejszych budowli sakralnych, trwały już przygotowania do pudży, rozkładano czerwone chodniki, układano kwiaty przed wizerunkami Buddy i złotą niszą, w której ukryta jest relikwia, wspomniany wyżej ząb. Było coraz tłoczniej, a my staraliśmy się znaleźć troszeczkę miejsca, by w spokoju wysłuchać świetnego wykładu Marcelka H. na temat tego miejsca. W końcu dźwięki dzwonków i trąb oznajmiły początek pudż. Ludzie wokół nas modlili się i wolno przesuwali coraz bliżej relikwiarza. My też. Po ceremonii zwiedziliśmy cały kompleks świątynny, łącznie z muzeami, nerwowo gapiąc się w telefony. Czekaliśmy na newsy ze szpitala aż w końcu nadeszły. Przeprowadzone badania wykluczyły dengę, Szymon dostał prochy, po których jak ręką odjął zeszła temperatura i mogliśmy odetchnąć.

Grace z Szymonem szli od lekarza pieszo, trochę powozili się też rikszą, ale nie do hotelu, a do świątyni, którą nasz chory wyprawowicz chciał zobaczyć jak reszta grupy. Po drodze mijali jezioro kojarzone z fotografii przedstawiających Kandy i przyuważyli kilka wielkich waranów wylegujących się na brzegach i gałęziach drzew. A tak ten akwen niewinnie wyglądał…

My z kolei pojechaliśmy wymienić dolary na rupie i kupić 120 kartek pocztowych. i znaczków do nich, bo przecież tradycja nakazuje wysłać pozdrowienia do kraju. Wszyscy natomiast mieliśmy się spotkać na późnym lunchu w wyhaczonej wcześniej restauracji i tak się stało. Znowu pozamawialiśmy kotty i hoppers egg. Najedzeni pojechaliśmy na culture show, czyli występy czegoś w rodzaju Zespół Pieśni i Tańca Kandy, ale zanim zaczęło się przedstawienie wysłuchaliśmy świetnie przygotowanego wykładu Andrzeja M. na temat buddyzmu.

Andrzej edukował nas w restauracji, w której można się było napić kawy podawanej w…

kuflach. Przedstawienie miało się zacząć o 17tej i zaczęło z małym opóźnieniem. Poprzebierani w kolorowe i mieniące się od ozdób stroje ludowe tancerze i tancerki zaprezentowali tradycyjne tańce lankijskie. Były występy w maskach i popisy z wykorzystaniem ognia, a po spektaklu zdjęcia w występującymi na scenie.

Szef Kumar nie dał się namówić na spacer po rozżarzonych węglach, za to żołnierskim krokiem zaprowadził nas do autokaru, który odstawił nas do hotelu.